ROZMAITOŚCI.

Dnia 16. Maja. № 20. Roku 1855.

RYCERZ GUMPRECHT.

(Obrazek szlązki z XVI stólecia)

przez **G. C.**

(Dalszy ciąg. Ob. N. 19. Rozmaitości).

Nieujechał jeszcze i połowy drogi, gdy w tém niespodzianie koń jego zapadł w bagno, tak iż wszelkie usiłowania, aby go wydobyć były nadaremne, a nawet jeszcze głębiéj pogrążyły biédne zwierzę. Przyglądając się bliżéj fatalnemu miejscu, przekonali się pan i sługa, że ktoś świéżo i umyślnie dół na ścieżce wykopał i nakrył go gałęźmi. Nim jednak mieli czas zastanowić się nad tém, z poblizkich krzaków kilka zaświstało strzał, ale żadna nietrafiła do celu. Jednym skokiem rycerz stał już na suchéj ziemi, krzyknął na Marcina, ażeby co tchu biegł po pomoc, a sam z dobytym mieczem poskoczył w krzaki.

— „Aha! mamy cię ptaszku! przeklęty gryzmoło!“ wrzasnął *Lulko* z *Czernic*, rycerz znany z rozbojów, wypadając z gęstwiny. — „To ty nas będziesz pozbawiał zarobku, a mieszczuchów będziesz bogacił! Poczekaj jeno!“ i wraz z kilkoma towarzyszami natarł na Gumprechta. Obskoczony rycerz bronił się dzielnie, gdy potem jeden z rozbójników potrafił go nareszcie pochwycić za szyję żelaznym hakiem, osadzonym na długim drzewcu, i pociągnąwszy silnie, zwalił go z nóg na ziemię. Ale i w tém nawet położeniu nie ustawał Gumprecht w obronie i ranił kilku napastników. Wtedy przyskoczył Lulko z ognistą strzelbą, przyłożył mu lufę prawie do twarzy i gorejący lont przytknął do zapału. Zagrzmiał wystrzał i Gumprecht padł nieruchomy. — Rozbójnicy poczęli zeń zdejmować zbroję, i już mu oderwali byli jednę ze złotych ostróg, gdy nagle *Gwalbert Koszynicki* podstarości z *Zabrza*, na czele kilku strzelców wyjechał z zarośli.

— „Hola! co to Waść porabiasz Mości Lulku!“ zawołał dobywając miecza.

— „A — to ty Gwalbercie!... Et — głupstwo — oto robiłem polowanie na wilka i chwyciłem go w samołówkę....“ W téj chwili właśnie koń Gumprechta wydobył się z bagna i jak strzała popędził ku *dyabelskiéj pieczarze.*

Dwaj sąsiedzi z Zabrza i z Czernic przemawiali się daléj, a towarzysze Lulka

rozbierali do reszty Gumprechta, wszystkie części jego zbroi wpakowali do worka, ale daremnie szukali srebra lub złota, bo Gumprecht resztę łańcucha, pierścionki i pieniądze schował był w kryjomę kieszeń u siodła.

Tymczasem w *dyabelskiéj pieczarze* ludzie rycerza z Kochlowic obaczywszy pańskiego konia, domyślili się, że samego pana musiało spotkać jakieś nieszczęście, i natychmiast czterech dobrze uzbrojonych jeźdźców udało się drogą do Gliwic wiodącą. Spotkawszy się z Marcinem i dowiedziawszy, o co rzecz idzie, przyśpieszyli biegu i w sam raz przybyli na pomoc swemu panu i Gwalbertowi z Zabrza. — Rozbójnicy albowiem obdarłszy zupełnie Gumprechta, chcieli mu jeszcze zdjąć złoty pierścień, który obaczyli na jego palcu. Wśród tego ocknął się rycerz z ogłuszenia, i byłby mimo oporu Gwalberta powtórnemu uległ gwałtowi, gdyby niebył przyskoczył wierny Marcin, i wraz z towarzyszami niebył go uratował od niechybnéj śmierci. — Wreszcie zbójcy poczęli ustępować przed natarczywością połączonych sił Gwalberta i Gumprechta; ale niedaleko uszedłszy trafili na świeży oddział zbrojnych. Byli to Lassowski i Kneflikowski, którzy na czele licznego orszaku uzbrojonych strzelców, jechali z Bytomia na polowanie do Kochlowic. Obaczywszy ich Lulko wystrzelił; — ale Bytomianie odpowiedzieli mu z czterech półhaków, a jedna kula strzaskała mu ramię. Powlókł się jeszcze kilka kroków, znacząc za sobą ślad krwawy, i osłabiony upadł na ziemię.

— „Ha! mamy cię teraz gałganie!“ zawołał wtedy nabierając odwagi Kneflikowski i przyskoczył do konającego już prawie rozbójnika. Ale Lulko zebrał ostatek sił swoich, pchnął go sztyletem i zawołał: „Oto masz za gałgana, nikczemny kramarzu!“ Kneflikowski zraniony w kolano upadł z bólu i strachu, — a Kotuliński dowódzca strzelców bytomskich złożył się z półhaku, i mózg Lulka obryzgał drzewa i krzaki przyległe.

Zrobiono na prędce nosze z gałęzi i złożywszy na nich Gumprechta i Kneflikowskiego, udano się z niemi do zamku w Zabrzu. Zamek ten otoczony wałem, leżał śród obszernéj równiny, ocieniony rozłożystemi lipami, obronny murem i wieżami. — Po zwodzonym moście wniesiono rannych do wnętrza.

W wielkiéj sali bez podłogi tylko mchem wysłanéj, — z oknami opatrzonemi małemi okrągłemi szybkami, któremi lada wiatr potrząsał, Gumprecht i Kneflikowski leżeli na słomie przykrytéj derkami. Piérwsze dni upłynęły im bardzo smutno. Tylko żona burgrabiego, ksiądz miejscowy i jakaś stara kobiecina zajmowali się ich pielęgnowaniem. Trzeciego dnia dopiéro przybyła Matylda, i pełną słodyczy troskliwością swoją złagodziła nieco opryskliwą niecierpliwość ojca, a nawet gwałtowną febrę kochanka. Po ośmiu dniach kazał się wreszcie Kneflikowski przenieść do Bytomia, przeklinając w duszy polowanie w Kochlowicach. Rycerz musiał jeszcze kilka tygodni pozostać na miejscu, zanim go można było przenieść do Kochlo-

wic. — Rana od kuli, która wszedłszy ustami wyszła policzkiem, trudna była do zagojenia; — a co najbardziéj trapiło zakochanego Gumprechta, to to, że po niéj musiała niechybnie pozostać blizna na całe życie. Pełen niecierpliwości oczekiwał dnia, w którymby się mógł puścić do Bytomia: — nakoniec przyszedł ów pożądany dzień — i po wielu, wielu tygodniach rycerz ukazał się w domu kupca. Ale jakże go tam inne oczekiwało teraz przyjęcie. — Kneflikowski już go nie potrzebował. — Miał on nawet ochotę przykazać córce, żeby się wcale niepokazywała, ale ledwie o tém pomyślał, weszła Matylda i zamiar ten zniweczyła. Gumprecht powitał ją z uniesieniem i dziękował serdecznie za troskliwość i starania, których w Zabrzu od niéj doznał, a włożywszy pierścionek na jéj paluszek, prosił ojca o jéj rękę. Ale prośba ta nie w porę była kupcowi, bo właśnie dniem piérwéj kasztelan Lassowski z tém samém oświadczył mu się w imieniu swego syna. A młody Lassowski był bogaty i świetne widoki miał przed sobą; — był w łaskach u panującego księcia, który go świeżo kasztelanem w *Pruskowie* mianował. Zresztą ojciec jego wyraźnie dał poznać Kneflikowskiemu, że go burmistrzem zrobi, i postara się o to, żeby mu książę nadał szlachectwo. Nie byłyż-to dla niego dostateczne powody do odmówienia ubogiemu rycerzowi?

Po chwili zatem przykrego milczenia, w te słowa odezwał się do niego: „Mości Rycerzu! powtarzam to samo, com już raz powiedział: — Matylda jest jeszcze za młoda. Mniejsza jednak o to; — ale uczyniłem ślub, że ją tylko za równego jéj stanem wydam człowieka. Więc albo Waszmość zostań kupcem, albo pomyśl o tém, żebym ja został szlachcicem. Postaraj się wprzód o przyzwoite dla siebie i żony utrzymanie — dosłuż się złotego łańcucha, i dopiéro wtedy powróć z twojém żądaniem. A teraz niech cię Pan Bóg prowadzi!“

Z oczyma pełnemi łez patrzała Matylda, jak ojciec po tych słowach wziął rycerza pod rękę, odprowadził do drzwi i grzecznie pożegnał. — Osłabiony jeszcze długiém cierpieniem, pałający miłością i gniewem Gumprecht, nieprzytomny prawie, dał się zupełnie powodować i przez chwilę stał jakby skamieniały. Nareszcie opamiętał się nieco, przywołał Marcina i kazał się odwieść do domu.

Po kilku dniach dopiéro namyślił się, co ma z sobą zrobić. Kazał więc co najlepsze rzeczy swoje spakować i udał się do Opola. Po drodze wstąpił do zamku *Toszek*, gdzie go Hans Posadowski z otwartemi przyjął rękami. W zamku obchodzono właśnie uroczystość poświęcenie kościoła. Ogromna sala, w któréj wygodnie sześcią końmi i karetą nawrócić można było, mieściła liczne grono gości, których bogaty gospodarz ze wschodnim podejmował przepychem. Drogi węgrzyn i stare miody, ogniste cypryjskie i szumiące reńskie wina płynęły strumieniami. Wszystko okoliczne rycerstwo gościło naówczas w Toszku, wraz z żonami i córkami, — i nie jedno piękne oko z upodobaniem spoczęło na udatnéj Gumprechta postaci. Jakkolwiek zatem serce

jego wierne zawsze było Matyldzie i stałe za nią tęskniło, — nie mógł jednakże nie uczuć radości z powodu miłego i serdecznego przyjęcia, jakiego doznał w tak zacném i dostojném gronie.

Bawiono się już dni kilka, gdy w tém na domiar uciechy, jednego dnia u bramy zamkowéj ukazał się książę Jan na Opolu. Przyjęto go z głośnemi okrzykami uniesienia, bo pięćdziesięcioletni książę był zawsze wesoły, nader miły i łatwy w obejściu, i dla tego od wszystkich lubiony. — Bardzo chętnie przyjął on prośbę Gumprechta, który pragnął w poczet jego przybocznych rycerzy być policzonym, i natychmiast wydał stosowne ku temu polecenia Baltazarowi z Promnicy marszałkowi swego dworu. — Odtąd bohater nasz nieodstępował już boku księcia, który go często używał za posła do Jerzego Margrabi Brandeburgskiego bawiącego naówczas w Węgrzech, i sprawującego tamże rządy kraju, jako opiekun dziesięcioletniego króla Ludwika. Za Gumprechta to głównie staraniem kupił był Margrabia Głupczyce i Karniow, a zawdzięczając mu wyświadczone sobie w tym razie usługi, wyrobił dlań u Ludwika złoty łańcuch w nagrodę.

Wszystko to stało się w przeciągu lat 8. Matylda ciągle była jedyną królową rycerzowego serca, i stałością swoją zupełnie na to zasługiwała. Nadaremne Kneflikowski używał wszelkich środków, żeby córkę ku młodemu Lassowskiemu nakłonić. Prośbami i rozlicznemi niewinnemi wybiegami usiłowała ona odwrócić ojca od tego zamiaru, — aż nareszcie w chwili kiedy już wszystkie prawie wyczerpała sposoby, przypadek przyszedł jéj na pomoc.

Jednego pięknego poranku szła na modlitwę, do samotnéj w pośród pól stojącéj kapliczki, gdy wtém wierny jéj piesek wykopał z ziemi kilka kawałków błyszczącego metalu. Z kupieckiego ducha swego ojca odziedziczyła Matylda tyle, iż nie pomijała nic, co jéj się zdawało, iż może przynieść jakikolwiek pożytek; — pozbierawszy zatem owe okruchy, zaniosła je ojcu, który natychmiast poznał, że to był ołów. Korzyści takiego odkrycia stanęły mu zaraz jasno przed oczyma, a to tém bardziéj, że potrzeba ołowiu właśnie naówczas niezmiernie była wzrosła. Strzelcy albowiem i rycerze poczęli już kusze i łuki zamieniać na półhaki i samopały, a ołów potrzebny do nich na kule, musiano aż z Goslar, a nawet ze Szkocyi sprowadzać.

Kneflikowski zatem począł skupować w cichości owe pola przy kaplicy, i kazał wśród nich szukać ołowiu; aliści przeszkodził mu w tém kasztelan Lassowski, utrzymując, iż prawo poszukiwania i kopania kruszców wyłącznie do panującego należy. Przyszło ztąd do nieporozumień i kasztelan cofnął swoje oświadczenie o rękę Matyldy dla syna.

Martwił się tém niezmiernie Kneflikowski, bo nie mało grosza wydał na zakupienie pól owych, i nieszczędził pochlebstw i podarunków mianowicie dla żon i córek właścicieli, aby ich do sprze-

daży nakłonić. Żeby nawet publiczną opinią w tym względzie opanować, płacił sowicie najtęższych w mieście krzykaczy, żeby w jego sprawie przemawiali, — i tym sposobem dość łatwo przyszedł do posiadania pożądanéj ziemi, ale cóż z tego, kiedy tylko z jéj powierzchni mógł użytkować. Urzędowe kroki, które w téj mierze przedsięwziął, żadnego nieprzyniosły skutku.

W takich to okolicznościach przypomniał sobie o Gumprechcie, o którym słyszał, że jest w łaskach u księcia Jana, i udał się doń przez Kusznickiego.— Gumprecht, rad ze sposobności, natychmiast wstawił się za nim do księcia, ale prośby jego były daremne, bo Kneflikowski nie był lubiony u dworu; — gdy wtém i tutaj szczęśliwy przypadek dokonał tego, czego najusilniejsze starania dokonać nie mogły.

Jednego razu książę Jan będąc na polowaniu w towarzystwie Gumprechta i całego przybocznego rycerstwa, wieczorem stanął przy ruinach *Nakła* przed stu laty przez Hussytów zburzonego. Naraz spostrzeżono gęsty dym, tu i owdzie z rozpadlin ziemi wychodzący, co niezmiernie ciekawość księcia rozdraźniło.

Poczęto szukać, i po odrzuceniu gruzów, znaleziono w głębi ciemnéj pieczary bandę fałszerzów monety. Spostrzegłszy, iż są odkrytymi, złoczyńcy ratowali się śpieszną ucieczką. Tylko Gumprecht puścił się za nimi w pogoń, i uchwyciwszy jednego, stawił go przed księciem. Na zapytanie zkądby brali kruszec do téj roboty, odpowiedział więzień, iż go kopali w brzozowym gaju pod Piekarami niedaleko Bytomia.

Książę był w wybornym humorze, i obróciwszy się do Gumprechta zapytał wesoło: „Jak się to nazywa ten kramarz z Bytomia? Kinftolog? czy jak? Wszakci on mię to już dawno męczy o przywiléj na kopanie kruszców... Ale prawda... powiedz-no mi mój Gumprechcie, co on ciebie może obchodzić, żeś się za nim wstawiał tak gorąco?...“

— „Miłościwy książę, kocham jego córkę!....“

— „Tak! — a dla czegóżeś mi tego wcześniéj nie powiedział!..., No i cóż? czy masz tam jakie przeszkody?..“ Tutaj rycerz z Kochlowic musiał opowiedzieć księciu całą historyą swojéj miłości, i warunki jakie mu stary Kneflikowski położył, jeżeli chce otrzymać rękę Matyldy.

Książę wysłuchał łaskawie przydługiego opowiadania, a w końcu zamyślił się przez chwilę i rzekł: „Od jutra jesteś kasztelanem Bytomskim na miejscu Lassowskiego, którego na stan spoczynku przenoszę; — a Kneflikowskiemu powiedz, że w książęcych moich dobrach *Piekarach*, może sobie szukać ołowiu... Reszta na potem...“

(Dokończenie nastąpi).

PRZYJACIELE MŁODOŚCI.

z Lampy Sternberga.

Towarzystwo zebranych na wieczorek podeszłych dam i mężczyzn. Zabawa wesoła, kolacya, potem obnoszą poncz. Rozmowa padła o pani Elżbiecie, którą wszyscy kochają.

Jegomość.

Nie wiecie też Panie, że nasza zacna przyjaciółka podobnoś cały majątek utraci.

(Powszechne przerażenie, wszyscy razem pytają zkąd ta wiadomość.)

Jegomość.

Mój bankier mi mówił. Dom Nerów zbankrutował, a u Nerów miała zacna nasza pani Elżbiéta wszystkie sumy złożone.

Wszystkie damy razem.

A to okropne nieszczęście; cóż biédna pocznie?

Jegomość.

Naturalnie będzie musiała szukać przytułku u przyjacioł młodości swojéj. Nie inaczéj;— ktoś z nas przyjąć ją musi.

(Cisza.)

Jejmość.

(Nagle.) Ja nie przyjmę! za nic w świecie nie przyjmę.

(Wszystkie damy ośmielone, jednomyślnie oświadczają, że za wszystkie skarby Golkondy nie przyjmą w dom swój biédnéj Elżbiéty.)

Jegomość.

Ale dla czegoż nie? Elżbiéta jest z charakteru łagodna, zgodliwa, nie wymyśla w niczém. Szczęście domowi temu, w który ona przybędzie.

Inna Jejmość.

Więc weź ją Pan do siebie.

Jegomość *(z największém zadziwieniem).*

Ja? ja bezżenny; i przyjmować damę niezamężną? A cożby świat powiedział? Darujcie Panie, ale to niepodobna.

Inna Jejmość *(cicho do sąsiadki).*

Komu lat ośmdziesiąt, świat go nie obmówi.

Sąsiadka.

(Z cicha.) Pewnie! ale radby narzucić drugim, czego sam nie chce. Mężczyźni wszyscy egoiści. *(głośno)* Powiedziałeś właśnie drogi przyjacielu, że Elżbiéta niewymyślna; dałby Bóg zapomnić, czegośmy same nadoświadczały. Niema stworzenia w pożyciu nieznośniejszego, jak właśnie Elżbiéta.

Piérwsza Jejmość.

I ja to powtarzam. Ona jest moją przyjaciółką młodości, ale przyznam się, chociaż ją mocno kocham, ale pod jednym dachem z nią bym nie wytrzymała. Do tego jeszcze starzeje się teraz, nawet babieje, a ja przy sobie nie lubię bab.

Inna Jejmość.

A ma setne przywary, nawyczki nieznośne, zażywa tabakę, zawsze coś przypnie na siebie niby stroik, i to w tym wieku, jeszcze— nie chcę tylko pomawiać, bo jest moją przyjaciółką od serca; ale ją w swój dom przyjąć, to tyle, co sobie grób wykopać.

Jeszcze inna Jejmość.

A o trzeciéj przywarze aniśmy wspomnieli, a jéj gadatliwość, jéj plotki, pomowy, a chętka mięszać się, gdzie jéj nie posieją. Co o tém ja mogę sądzić najlepiéj, bo jesteśmy przyjaciołki sobie z dzieciństwa, ze mną nie potrzebowała się przełamywać. Kocham ją niewymownie, ale w mój dom ją przyjąć, broń Boże, chyba los sobie zawiązać.

Czwarta Jejmość.

Ja to tylko mówię, że dla mnie ona nieznośna. *(cicho do sąsiadki)* Te zubożałe przyjaciółki młodości to plaga boska, szkoda że w Egipcie takiéj nie użył Mojżesz, a stałaby za wszystkie.

Sąsiadka.

(Z uśmiechem wdzięcznym.) Złośliwie ale prawda. *(cicho)* Poncz trochę za słaby.

Jegomość.

Więc widzę moje Panie, że ukochana nasza pani Elżbiéta będzie musiała żebrać ode drzwi do drzwi.

(Śmiech powszechny. Rozmowa pada na coś innego. Jeden z gości bardzo rozrzewniony. Pytają go, co mu jest.)

Czuły Jegomość.

I możecie się państwo pytać? Dzisiejsze mianowanie Ministra rozrzewnia mię, to mój przyjaciel z lat młodych! Niebo zesłało mi pociechę doczekać się, że ten szlachetny mąż doszedł do najwyższych godności.

Cudzy Jegomość.

Przyjaciel z lat młodych? Nie wiedziałem. Winszuję.

Czuły Jegomość.

(Z pobożnem wzruszeniem.) Upatruję w tém łaskę nieba za tyle dolegliwości moich doznanych w życiu. Szczęście przyjacioł moich, to moje własne.

Dama.

(Ciekawie.) Ale jakim-to sposobem minister przyjaciel pański z lat młodych? Przyznam się, że nie pojmuję. Widzi mi się, że minister ze dwadzieścia lat młodszy od pana?

Czuły Jegomość.

Zaraz to wytłumaczę. Oto razem, pan minister ze mną, chodziliśmy na jeden uniwersytet; ja kończyłem właśnie, kiedy on wstępował.

Dama.

Jakżeż to pięknie. O bo téż to po uniwersytetach zawiązują się związki serdeczne. Mój mąż nieboszczyk zawsze mi mawiał.

Czuły Jegomość.

Potem znowu znaleźliśmy się razem; pan minister ze szkół puścił się na wojaż, ja byłem w urzędzie; on powróciwszy wszedł także w służbę krajową właśnie, kiedym na prowincyę ze stolicy wyjeżdżał.

Stary Jegomość.

(Do sąsiada.) A to zabawne koleżeństwo. Na ten sposób, ja z wielkim Lamą wzajemnieśmy sobie przyjaciele z lat młodych.

Sąsiad.

A ja z Sułtanem. Zresztą sam rozmawiałem z ministrem niedawno, jemu się ani śniło o takim przyjacielu młodości.

Czuły Jegomość.

Dla mnie największe szczęście, żyć szczęściem przyjacioł mojéj młodości.

Dama.

(Ściska mu popod stół rękę.) Szlachetny, zacny mężu!

Czuły Jegomość.

Lube dziécię!

Sąsiad.

Ale tymczasem doczekałeś się Pan nieszczęścia po drugim przyjacielu młodości. Kolegę twego złożono z urzędu, jak mówią, że trochę za zuchwale popierał gminę.

Czuły Jegomość.

(Nieco wzruszony.) Co zaś? Radca? on nigdy nie był moim przyjacielem młodości. Może go tylko kilka razy widziałem.

Sąsiad.

(Cicho.) Kilka razy? a cztery lat na uniwersytecie razem, a dwanaście lat koleżeństwa przy jedném biórze!

Dama.

(Coraz się serdeczniéj wpatrując w przyjaciela młodości.) Szlachetny mężu!

Czuły Jegomość.

Lube dziécię!

Dwie Panie.

(Do jednego z gości co się wypatrzył w roztargnieniu.) O czém Pan myśli? Jak by go tu nie było; wszakżeś między przyjaciołmi! Otoż-to uczeni! Zawsze tak.

Uczony.

Przepraszam! Coś mi po głowie chodzi; składała mi się rozprawa o zmarłym niedawno panu Simpleton, sławnym z naszego grona.

Damy.

Ah! komponowałeś ody na pana Simpleton! o to będzie znowu coś boskiego, pióro pańskie znane.

Uczony.

(Dobitnie.) Rzecz bardzo skromna wypadnie, mało mi dał się stręczy. Musiałbym się wprzódy wywiadywać. *(do sąsiada)* Nie podał by mi Pan co z życia pana Simpleton?

Sąsiad.

Hm! — nie! — Ale poradzę Panu; udaj się do pana Zarwy w trybunale, ten panu z największą uprzejmością nagada tysiąc osobliwości o nim. Rozpowie nie jedno, co by drugich gorszyło, anegdotki, pustoty z kobiétami, słowem użyczy Panu najponętniejszych materyałów, a pewnie nikt lepiéj nad p. Zarwę, bo był przyjacielem młodości tego sławnego męża.

Uczony.

Ztąd mógłbym wnosić, że p. Zarwa...

Sąsiad.

(Wpadając w słowo.) Coś zamilczy, albo osłoni? — oh właśnie! zkądże byśmy wiedzieli przywary, ułomności, grzechy tych sławnych mężów, gdyby nie mieli przyjaciół młodości? Rzecz bardzo naturalna: dwóch ludzi wstępuje w tór życia powszedni; jeden wyprzedza, drngi, co przyzostaje, jest jego krytyk i cenzor, bo mu coś zawsze w sercu poszeptuje: a dla czegoż ja nie jestem sławny? wszak pod moim nosem więcéj rzeczywistych godności, niźli na całéj skórze przyjaciela mojéj młodości. Jego zasługi! mój Boże! to pożyczone godła; ja wstydziłbym się niemi przy moich zdolnościach, moim charakterze, mojéj pracy i wytrwałości! Sam to Pan przyznasz, chciéj tylko zaglądnąć do biografii sławnych ludzi wydanéj zpod pióra przyjaciół ich młodości. Ale zwracając do pana Simpleton, wiem z ust p. Zarwy, że właśnie ten p. Simpleton, co wydał dzieło o świętości przysięgi, raz za młodu popełnił sam krzywoprzysięstwo, ażeby się wyprzeć pożyczonéj sumy.

Uczony.

To rzecz bardzo ważna. *(Zapisuje w pularesie.)*

Stary Jegomość.

(Podnosi się i zaraz siada, ale wywołuje biorąc za szklankę ponczu.) Nie wiem czy to dobrze, ale ja zawsze za starem: za starą wiarą, starą szczerością, i za starą piosneczką. Wolno szydzić z inwentarza moich sentymentów, starych ale dobrych, ale uczciwych. Sprzęcik to w nich, moi państwo, tém dogodniejszy im starszy, jak wychodzony trzewik nigdy nie gniecie. Ale coż miałem powiedzieć? Oto! proponuję starą piosneczkę: „Siedzą siedzą w komóreczce, i przy swojéj kochaneczce..." *(Powszechny oklask; damy wywijają chustkami; dzwonią szklankami; stary jegomość beczy, mężczyźni wtorują, damy jedne podprawiają melodyi, drugie łzy ocierają.)*

Jedna z Dam.

(Do sąsiadki.) Ja zawsze przy swojém, ten ponczyk za słaby!

Rośliny szkodliwe drobiazgowi.

Gorzkie migdały są zabijącą trucizną dla wszelkiego drobiazgu; skoro tylko chociaż najmniejszą odrobinę zjedzą, dostaną natychmiast zawrotu, padają na ziemię i zdychają, tak, że nikt odgadnąć przyczyny nie jest wstanie. — Dla gęsi pietruszka jest prawdziwą trucizną. — Dla kaczek cukier jest trucizną; łut cukru zabija starą kaczkę. — Dla indyków roślina naparstnica, (*digitalis purpurea*, Fingerhut) bardzo niebezpieczna; skoro połkną najmniejszy kawałek, dostają konwulsyjnych kurczów; chociaż życia nie utracą, to jednak dostają suchot i późniéj zdychają. Niemniéj niebezpieczną jest dla nich świniawesz plamista (*conium maculatum*, Schierling); skoro chociaż cokolwiek z niéj połkną, śmierć jest niezbędna, jeżeli im się nie da cokolwiek oliwy, która wcześnie zadana, czasem jeszcze ocali. — Ziarno świniejwszy szkodzi kaczkom, dostają po niém zawrotu. — Liście z maku pospolitego jedzą gęsi, skoro im się z inną daje karmą zmięszane; zwykle w skutek tego zdychają, rzadko życie ocalą.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*